

Piotr A. Czyż

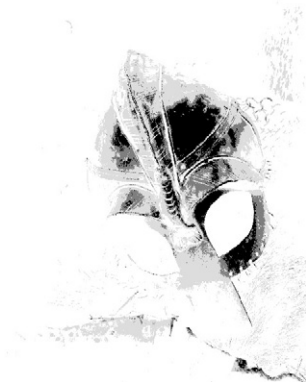
Wspomnienia Henryki Tajchert z Włodawy – więźniarki Zamku Lubelskiego, Ravensbrück i Bergen-Belsen

Radzyński Rocznik Humanistyczny 11, 71-84

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Piotr A. Czyż

(Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego we Włodawie)

Wspomnienia Henryki Tajchert z Włodawy – więźniarki Zamku Lubelskiego, Ravensbrück i Bergen-Belsen

*Ludzie ludziom zgotowali ten los.
Niewątpliwie byli to ludzie,
którzy mogli to robić,
ale robić tego nie musieli.*

Z. Nałkowska „Medaliony”

Na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej, 22 sierpnia 1939 r. Adolf Hitler tak tłumaczył dowódcom Wehrmachtu swoją wizję wojny z Polską: „Zamknąć serce na współczucie. Brutalna akcja. 80 milionów ludzi musi otrzymać to, co im się prawnie należy. Ich egzystencja musi zostać zapewniona. Rację ma silniejszy. [Należy postępować] z największą brutalnością”¹.

W pracy niniejszej powracam do problemu losów Polaków w czasie

okupacji niemieckiej w latach 1939-1944. Doskonałym do tego pretekstem są wspomnienia Henryki Bartnickiej-Tajchert, utwalone przez włodawskiego nauczyciela historii Henryka Osypiuka 26 kwietnia 1980 r. Wchodzi one w skład 28 wspomnień mieszkańców Włodawy z okresu II wojny światowej, sporządzonych na magnetycznych taśmach szpulowych audio. Nagrania – dotąd nie publikowane – przechowywane są obecnie w dziale historycznym Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego we Włodawie. Wcześniej znajdowały się w Szkolnej Izbie Pamięci Narodowej przy Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki², otwartej 24 marca 1981 r.³ Po

¹ D. Geppert, Ch. Glauning, *Historia i Pamięć. Wojna i praca przymusowa na przykładzie Polski*, [w:] *Erinnerung bewahren. Sklaven und Zwangsarbeiter des Dritten Reichs aus Polen 1939-1945/ Zachować pamięć. Praca przymusowa i niewolnicza obywateli polskich na rzecz Trzeciej Rzeszy w latach 1939-1945*, Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”, Warszawa 2009, s. 27; M. Wild, *Generation des Unbedingten*, Hamburg 2002, s. 420.

² Obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki.

³ Wśród gości na otwarciu wystawy obecni byli

zlikwidowaniu Szkolnej Izby nagrania trafiły do włodawskiego muzeum.

Polityka niemiecka wobec ludności polskiej odcisnęła wielkie piętno na ludziach żyjących podczas okupacji hitlerowskiej⁴. Włodawskie nagrania dotyczą w głównej mierze przeżyć związanych z pobytem w obozach koncentracyjnych, którego punktem wyjściowym był w Lubelskiem zazwyczaj pobyt na Zamku w Lublinie⁵, skąd deportowano więźniów do konkretnych obozów, a także wspomnień o sytuacji panującej w mieście i okolicy⁶. Zatem więzienna okupacyjna droga Polaków w regionie rozpoczynała się na Gestapo we Włodawie⁷, poprzez więzienie na

następujący autorzy wspomnień: Henryka Tajchert, Kazimierz Wołczuk, Stagniew Sierpiński, Władysław Grzebuła, Franciszek Stupka, Anna Wołczuk, Krystyna Kaczorowa, Antoni Borysik, Józefa Pilars, Jerzy Jagiełło, Mieczysław Bajuk, Stanisława Waśniewska, Petronela Żak, Jan Jurkowski, Bronisław Koszot, Stanisław Raczkowski, Leon Torbicz, Antoni Chorąży, Józef Klauda, Czesław Śliwczyński, Helena Jagiełło, Leokadia Chorąży, Jerzy Partyka, Ewa Partyka, Władysław Gaj, Krystyna Żelazek.

⁴ Szerzej na temat polityki okupacyjnej możemy znaleźć m.in. w pracach: Cz. Madajczyk, *Lubelszczyna w polityce okupanta*, [w:] *Zeszyty Majdanka*, t. II, Lublin 1967; Cz. Madajczyk, *Polityka okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich 1939-1945* [w:] *Wojna i okupacja na ziemiach polskich 1939-1945*, pod red. Władysława Góry, Warszawa 1984; Z. Mańkowski, *Między Wisłą a Bugiem. Studium o polityce okupanta i postawach społeczeństwa*, Lublin 1982;

⁵ Oficjalna nazwa więzienia na Zamku brzmiała: *Gefängnis der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienstes Lublin* (Wieżenie Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w Lublinie (tłum. Karol Kurczuk); Więcej na temat więzienia na Zamku w Lublinie w artykule A. Gałan, *Charakter i struktura więzienia na Zamku w Lublinie w latach okupacji hitlerowskiej*, „Zeszyty Majdanka”, t. 9 (1977), oraz w monografii pod redakcją Zygmunta Mańkowskiego, *Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939-1944*, Lublin 1988.

⁶ Szczególnie warte podkreślenia są dwie relacje: jedna dotyczy getta we Włodawie, zaś druga niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze.

⁷ Jej siedziba znajdowała się w budynku obecnej

Zamku w Lublinie, a kończyła na pobycie w obozach koncentracyjnych na terenie Generalnego Gubernatorstwa⁸ oraz Rzeszy⁹.

Zbliżający się front zmuszał zarządy obozów koncentracyjnych do podejmowania działań mających na celu zatarcie istnienia wszelkiej działalności na terenie obozu, ewakuacji, jak również eliminacji więźniów bądź deportacji do innych obozów. Równoległe do dramatycznych wydarzeń toczyły się bardzo intensywne pertraktacje przedstawiciela Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, hrabiego Folke Bernadotte’a, z Reichsführerem SS Heinrichem Himmlerem, dotyczące uwolnienia więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych¹⁰.

Polacy, którzy przebywali na terenie III Rzeszy jako więźniowie i robotnicy przymusowi, zostali wyzwoleni wiosną 1945 r. Rozpoczął się wówczas dla nich nowy etap życia. Większość z nich w miarę szybko powróciła do ojczyzny. Ci, którzy pozostali początkowo w Niemczech, okreśłani mianem *Displaced Persons* (DP), zostali zakwaterowani w prowizorycznych obozach. Organizowali w nich sobie życie społeczne i kulturalne, zakładając stowarzyszenia, wydając gazety i urządzając szkoły oraz placówki edukacyjne.

Repatriacja obywateli polskich trwała do końca lat czterdziestych XX w. Duża grupa polskich DP stanęła jednakże przed dylematem, czy wracać do ojczyzny pod władzą komunistów, czy

Powiatowej Komendy Policji we Włodawie.

⁸ Chodzi o KL Auschwitz i KL Majdanek.

⁹ Ravensbrück, Mauthausen-Gusen, Gross-Rossen, Sachsenhausen, Dachau, Hamburg-Neuengamme, a także obozy jenieckie w Lubece-Hamburgu czy Strasburgu.

¹⁰ W efekcie tych ustaleń uwolniona została Henryka Tajchert.

też pozostać na emigracji. Ci, którzy nie zdecydowali się na powrót, najczęściej emigrowali na zachód – do Anglii lub za ocean¹¹.

Henryka Bartnicka-Tajchert (nr obozowy w Ravensbrück – 7618¹²) urodziła się we Włodawie 19 stycznia 1922 r. Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczęła naukę w roku 1936/37 w Szkole Handlowej. Od 1937 r. uczyła się w gimnazjum we Włodawie. W pierwszym roku okupacji hitlerowskiej pracowała w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych we Włodawie. Aresztowana została we Włodawie 1 maja 1941 r. za pracę konspiracyjną w harcerstwie. Prawdopodobnie na początku 1940 r. harcmistrz Piotr Kołodziejek zorganizował we Włodawie konspiracyjną działalność „Szarych Szeregów”. Sądzić należy, że na jej czele stanęli bracia Żelaźniewiczowie. Zajęcia w zastępach miały charakter wojskowy. Prowadzono m.in. szkolenie z bronią i obserwację ruchów wojsk niemieckich. Jednak w okresie kwiecień – czerwiec 1941 r. okupant zlikwidował cały trzon organizacji. Miał ułatwione zadanie, gdyż już jesienią 1939 r. zdobył całą przedwojenną dokumentację włodawskiego hufca. Wszystkich aresztowanych poddano wstępnym przesłuchaniom, często połączonych z biciem, w budynku miejscowego Gestapo.

Następnie osadzona została w więzieniu na Zamku w Lublinie, a po

kilkumiesięcznym pobycie wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Do obozu przybyła 23 września 1941 r. z lubelskiego transportu (Sondertransport – transport więźniów z wyrokami kary śmierci).

W Ravensbrück należała do tajnej drużyny harcerskiej „Mury” (zastęp „Cementów”, uczestniczyła w kompletach tajnego nauczania w klasie na poziomie licealnym, prowadzonej przez Wandę Madlerową – dyrektorkę gimnazjum z Białej Podlaskiej. W klasie tej były ponadto: Krystyna Czyż, Janina Iwańska, Jolanta Krzyżanowska, Janina Marciniak, Lala Siwecka-Betty, Halina Żaba. W Ravensbrück przebywała do 28 lutego 1945 r., a następnie została przewieziona do obozu – umiarkalni (tzw. *Vernichtungs* albo *Abfertigungslager*) w Bergen-Belsen (transport dotarł dopiero 2 marca). 15 kwietnia 1945 r. Bergen-Belsen wyzwoliły wojska angielskie. Jako rekonwalescentka po przebytych tyfusie, została przewieziona przez Czerwony Krzyż do Szwecji, gdzie przebywała od 8 lipca 1945. W Szwecji, po przeprowadzonych badaniach, więźniowie zostali rozmieszczeni w różnych szpitalach. Chorych na tyfus leczono w szpitalu w Malmö. Po wyjściu ze szpitala 2 sierpnia 1945 r. zamieszkała w domu państwa Jurgensen, w miejscowości Falsterbo na południu Szwecji. W listopadzie 1945 r. powróciła do Polski, do Włodawy, gdzie uzyskała maturę 15 czerwca 1946 r. Następnie podjęła studia na Wydziale Stomatologii Akademii Medycznej w Warszawie. Ukończyła je w 1950 r. 8 sierpnia 1948 r. wyszła za mąż za Jana Tajcherta członka AK ps. „Farys”. Od 1 stycznia 1951 do 29 lutego 1956 r. pracowała jako dentysta w Przychodni Zdrowia w Ełku.

¹¹ *Erinnerung bewahren. Sklaven und Zwangsarbeiter...*, s. 177.

¹² Więcej na temat KL Ravensbrück możemy znaleźć w artykułach B. Strelbel, „Przepaść nie do przebycia” – kompleks obozowy KL Ravensbrück, „Zeszyty Majdanka”, t. 24 (2008); W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, „Zeszyty Majdanka”, t. 8 (1975); oraz w monografii W. Kiedrzyńskiej, *Ravensbrück. Kobiety obóz koncentracyjny*, Warszawa 1961.

Do Włodawy powróciła w 1956 r. i tu pracowała aż do przejścia na emeryturę 1 grudnia 1980 r. W sierpniu 1967 r. przebywała z grupą byłych *kacetowców* w Anglii na zaproszenie fundacji Sue Ryder Home. Urodziła syna Andrzeja oraz córki Barbarę i Annę. Odznaczona została m.in.: Krzyżem Kawalerskim OOP, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945, Krzyżem za Zasługi dla ZHP oraz odznaką „Za zasługi dla Lubelszczyzny”. Zmarła 26 maja 1997 r. Została pochowana jest na cmentarzu parafialnym we Włodawie¹³.

Propagatorem szerzenia wiedzy o przeżyciach Henryki Tajchert jest jej zięć, Janusz Tajchert, który prowadzi stronę dotyczącą życia i działalności pani Henryki, jak również spotkania byłych więźniarek. Nagranie spisałem w okresie listopad-grudzień 2009 r.

¹³ <http://tajchert.w.interia.pl/enter.htm> [dostęp: 22 luty 2013].

Wspomnienia byłej więźniarki Zamku Lubelskiego i obozów koncentracyjnych w Ravensbrück i Belsen Bergen p. dr Henryki Tajchert. Nagranie sporządzone dnia 26.04.1980 przez mgr Henryka Osypiska, emerytowanego nauczyciela historii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki we Włodawie

Nasza klasa była nieliczną klasą, liczyła około 30 osób. Kiedy wybuchła wojna, od razu włączyliśmy się jako drużyna do pracy konspiracyjnej. Na początku wyglądało to w ten sposób, że podczas przerzutów wojsk trzeba było zabezpieczyć dowożenie żywności, rozdział tej żywności na stacji kolejowej w Tomaszówce, następnie tam rozdzielano żywność. Trwało to krótko, trwało do momentu wkroczenia wojsk niemieckich do naszego miasta. No potem praca ta nie skończyła się. Szukaliśmy kontaktów z organizacją podziemną, która bardzo szybko po wkroczeniu Niemców do Polski zaczęła się formować.

Tutaj na terenie Włodawy działało kilka organizacji. Nas zorganizowano jako młodzież harcerską, to się potem nazywało ogólnopolskim znaczeniem „Szare Szeregi”. Uczono nas obchodzenia się z bronią, a przede wszystkim pracy emisariuszy. Zawiadamiato się o spotkaniach, przyjazdach emisariuszy. Należało zabezpieczyć u danych wyżywienie, to było na koszt grupy ludzi, która była na miejscu i pojedynczych osób, które przyjeżdżały.

Działalność nasza nie trwała długo, bo już w 41 roku w maju, całą klasę, prawie całą aresztowano. Aresztowano nas we Włodawie w różnej formie. Były to indywidualne ujęcia, wtargnięcia wczesnym rankiem do domu, było to sprowadzanie młodzieży, która nie była w tym momencie we Włodawie, tylko z Chełma, czy nawet z Lublina.

Wszystkich nas po wstępnych prze-

stuchaniach na Gestapo we Włodawie odwieziono nas na Zamek Lubelski. Niektóre sprawy się już kończyły, tzn. Niemcy uznali, że nie muszą więcej wypytywać. Niektórzy, którzy mieli powiązania z Lublinem czy Warszawą, organizacjami lubelskimi czy warszawskimi jeszcze byli przestuchiwani. Zresztą nie trzeba było bardzo być winnym, aby być przestuchiwany już za przewinienie w samym więzieniu.

Na Zamku, to byli tam więźniowie kobiety i mężczyźni. W zasadzie nie było kontaktu, ale można było się spotkać. Można było przez wysoki mur dojrzeć bliskich i znajomych podczas spacerów, kiedy byliśmy wyprowadzani. Owinęta była grypsera, to co w więzieniach jest. Stukanie w rury i inne środki, które ułatwiały jeżeli był potrzebny jakiś kontakt.

Ja w więzieniu już zastałam jedną z włodawianek, która wcześniej była aresztowana. Dzięki niej żyje i mieszkam w Lublinie do tej pory. Dzięki niej miałam mieć troszkę łżej, w tym sensie że było do kogo się odezwać.

Przybycie do więzienia, to nie jest taka prosta sprawa, gdy się ma 19 lat, wiele spraw się nie rozumiało, gdy się miało bardzo idealistyczne nastawienie, zarówno na życie, jak i na walkę, jak i na to co się chciało osiągnąć. Koleżanka ta nazywała się Kusnierz Janina. Już te wszystkie sprawy przeżyła i odpowiednio potrafiła mnie ustawić.

Już na terenie więzienia znajdowały się bardzo mądre kobiety, światłe kobiety,

starsze, które też były za jakieś przewinienie aresztowane, ale które zajęły się nami młodzieżą 19-to i 18-to letnimi dziewczynami, żebyśmy nie straciły wiary, żebyśmy się nie załamały. Opowiadały nam o życiu, opowiadały nam o tej innej Polsce, tej wielkiej Polsce. Opowiadały nam właśnie dziewczętom z małych miast i wiosek nawet, bo były i takie w więzieniu o literaturze, o sztuce, o teatrze. Tam właśnie dowiedziałam się o wielu sztukach, które były grywane przed wojną, o wielu aktorach, o sławnych ludziach. Tak rozpoczęło się inne bogactwo i dojrzalsze życie.

W więzieniu siedziałam od maja do końca września (1941). We wrześniu wyjeżdżał transport do Ravensbrück. Myśmy nie wiedzieli dokąd nas wiozą. Zapakowano nas w bydłące wagony. Tutaj chyba trzeba powiedzieć o ogromnym patriotyzmie Polaków, bo już na pierwszych przystankach, postojach raczej, kolejarze polscy wrzucali nam karty pocztowe. Można było napisać parę słów do rodziny, że jesteśmy wywiezieni z Lublina w niewiadomym kierunku, aby w miarę możliwości powiadomili nasze rodziny, co się z nami dzieje. Kiedy po powrocie się dowiedziałam, że te wszystkie kartki doszły, moja mama także otrzymała taką kartkę.

Jechaliśmy kilka dni, to nie ma znaczenia, bez jedzenia oczywiście (...) sfłoczone ogromnie, bez spania. Ale w końcu wszystko ma swój kres, przywieziono nas do Ravensbrück.

Ravensbrück to był obóz kobiecy jeszcze przed wojną utworzony. Był stworzony dla komunistek niemieckich i innych narodowości, austriackiej, bo Austria była włączona, jako obóz karny. Obóz bardzo szybko się rozrastał, pierwsze numery w każdym obozie, każdy więzień miał swój numer obozowy. Więc ja mam koleżanki, takie do tej pory serdeczne przyjaciółki, któ-

re aresztowane miały numery 2 000, 600, 2 800, 3 000. Mój transport miał numery od siedmiu tysięcy do jedenastu tysięcy. To były dwa transporty razem. To były tzw. „Sondertransporter” transporty, gdzie wszyscy byli skazani na śmierć. Działo się to dlatego, że wszelkie represje które były stosowane przez Polaków, wszelkie napady na Niemców, a był wtedy taki głośny napad w Lublinie na Niemców. Już Niemcy wydawali wyroki na więźniów w obozach koncentracyjnych. I myśmy tzw. „Sondertransporter” transport specjalnym byli. Mój numer obozowy 7 618, a zaraz szybko po tym był drugi transport warszawsko-lubelski, tak on się nazywał. Jedenaście tysięcy koleżanki miały, to był jednakowo liczony. Z jednakowym przewinieniem wszyscy byli skazani na śmierć.

Ponieważ tak się dzieło, więc część osób była rozstrzeliwana. Od czego to zależało? Pewnie jak w życiu, pewnie od przypadku tzw. łutu szczęścia. Bo cały szereg koleżanek, było kilka poetek jak Grażyna Sosnowska, kiedyś właśnie było wspomnienie o nie w telewizji, ona poszła na śmierć, jej starsza siostra poszła na śmierć, w ogóle dużo osób poszło na śmierć po portu tak. Pewnego dnia przychodzono zawiadomiano, że jutro nie mają się stawiać do pracy, bo myśmy pracowali, co znaczyło że jutro staną pod ścianą śmierci.

W obozie trzeba było przejść kwarantannę, tzn. w takich samych barakach, bo cały obóz to był szereg baraków postawionych tak jeden przy drugim, otoczony drutem kolczastym naelektryzowanym. Na zakończenie były budynki tzw. po niemiecku „Politkschalailung”, takie wydziały polityczne, biura, urzędy.

Czy były ucieczki? Były ucieczki, ale ponieważ ucieczki kończyły się fiaskiem, wracały te koleżanki, chociaż będę miała czas to powiem o ciekawych ucieczkach

bliskich Polek właśnie powiem. Po okresie kwarantanny trzeba było stanąć do pracy. Praca była przeraźliwa. Pracowało się na terenie obozu, część miała jakiś sens, czyli szwalnie, a więc przy takich pracach dowiezienie brykietu w kuchniach, ale tam gdzie brakowało pracy dla wszystkich, bo obóz bardzo szybko się powiększał, tzn. liczba więźniów. Więc sypało się bezmyślnie kilka, kilkadziesiąt kupek piasku i trzeba było cały dzień z kupki na kupkę na okrągło ten piasek przesypywać. No i do tego się chodziło. Z czasem, powiedzmy po roku lub troszkę dłużej kto miał troszkę sprytu starał się gdzieś umieścić w tzw. wytrybach, tzn. tam gdzie można było w zamkniętych pomieszczeniach pracować, a więc właśnie szwalnie, a więc był szewc, gdzie chodziło się do szewca wykonywało się pewne reperacje butów więźniów, a zresztą nie tylko więźniów i tych dozorców. Jednym słowem praca w zamkniętym pomieszczeniu była o tyle lepsza, że nikt nie marzył.

Rano i wieczorem odbywały się apele. Rano dwa apele, liczenie to był apel wszystkich więźniów, a drugi to był tzw. „Arbeit-sapel”, tzn. apel pracy gdzie ustawiały się kolumny i wychodziły na swoje stanowiska. W ciągu dnia godzinna przerwa na obiad, a potem już kolacja. Była tzw. „Freistunde”, tzn. Wieczorem można było godzinę czy posiedzieć czy wyjść na taką ulicę, na grobli pospacerować. Unikano się tego, bo Niemcy podchodzili i strzelali. Czasem się wychodziło, ale to były żarty.

Żeby zupełnie nie zginąć i nie zatracić człowieczeństwa, by nie zatracić własnego ja, panie te, które już w życiu coś przeszły, starsze, co nie koniecznie starsze, ale już dojrzałe kobiety starały się jakoś zorganizować młodzież i inne kobiety, które załamywały się. A załamanie w obozie, to już oznaczało śmierć. Zaczynało się to w ten sposób, że się człowiek nie mył, bo tam była tylko zimna

woda, bardzo krótko była ta woda. Wszystko było jedno, a nic się starał, niczego nie pragnął. I taki człowiek, jeżeli nie wyciągnęło się go z takiego impasu, bardzo szybko zapadał na zdrowiu i ginął. Dużo zginęło, bardzo dużo osób, no ale żeby właściwie nie dopuścić do tego były różne akcje.

Były koleżanki, aktorki przedwojenne, czy te które pracowały gdzieś w radio, czy dużych instytucjach w wielkich miastach. Urządzały takie wieczory recytatorskie. Wyglądało to w ten sposób, że kiedy się już kładłyśmy spać, jedna deklamowała wiersze, opowiadała o pięknych rzeczach. Wtedy można było w bardzo łatwy sposób zapoznać się z tą naszą piękną literaturą. A więc „Skamander”, Przyboś właśnie te wiersze, Tuwim, następnie Młoda Polska poezja przeważnie, przeważnie poezję można było przyswoić. Gaczyński, Mochnacki to byli poeci, których bardzo chętnie żeśmy się uczyli jedna od drugiej. Oprócz tego były bowiem po dwóch latach pobytu w obozie profesorki, wykładowczynie zorganizowały klasy licealne. Zorientowały się, że młodzież bardzo chciała się uczyć.

I teraz, kiedy moje dzieci chodziły do szkoły i słyszałam o tej ogromnej ilości dwój, przykro mi było. Bo macie wszystko, co możecie mieć, wykładowców, sale wykładowe, pomoce naukowe. Myśmy nie mieli nic, nie mieliśmy papieru nie mieliśmy możliwości nawet spokojnie słuchać, a jednak każdą wolną minutę poświęcaliśmy na naukę historii, polskiego, naukę o teatrze, na naukę języków obcych. Wiele koleżanek nauczyło się dobrze mówić, czy to po to francusku, czy niemiecku i angielsku. Chwytałyśmy każdy moment, aby się czegoś nauczyć nie mając absolutnie nadziei, że my wyjdziemy z tego. Większość z nas myślała, że tam zostaniemy.

Okres 4 czy 5 lat pobytu w obozie, nie dawał gwarancji, że wyjdzie się, czy zdrowie

dopisze, że to jakieś się skończy. Zwłaszcza, że znana w tym czasach propaganda niemiecka, bez przerwy mówiono o klęskach na wszystkich frontach, o naszych klęskach, o zwycięstwach Niemców, a to zupełnie nie było budujące. I mimo tego, myśmy chciały się uczyć. Myśmy chciały coś wiedzieć. Chciałyśmy żyć, nie tym życiem obozowym w którym musiałyśmy żyć, ale jakimś takim lepszym duchowym życiem, które nie pozwoliłoby na zatracenie.

Jedną z ciekawszych akcji, które odbyła się, to był napad na dozorczynię. Więc był to okres ja nie pamiętam dokładnie czy 43 czy 42, ale chyba 43. Co tydzień były brane koleżanki serdeczne, bardzo wartościowe kobiety, które brano na rozstrzelanie. To się mówiło po naszymu „na rozwałkę”. I wtedy to był bunt nie pisany, bunt niezorganizowany. Wieczorem, kiedy je zabierano do bloku specjalnego, umieszczane zawsze noc przed rozstrzelaniem, które odbywało się o świcie. Szłyśmy lawą zza linii, zebrano się masę tłumy, tłum po prostu. Rzuciliśmy się na dozorczynię, one chodziły w takich czarnych pelerynach, które nazywałyśmy „wrony”. Rzuciliśmy się na te „wrony”. Doszło do bitwy, oczywiście bez kiji, bez niczego po prostu ręce, były użyte ręce. Zrobiło się straszne zamieszanie nim przyszedł komendant obozu, to już było okropnie. Wiele dozorczyń było bardzo poturbowanych, tak samo zresztą jak więźniary, bo wkroczyli w to esesmani, Niemcy z pałkami. I zdecydowano, że wszystkie Polki pójdą na rozstrzelanie.

I była taka dozorczyń, komendantka obozu ówczesnego, która była przyjacielem Polek, to może za szeroko powiedziane, ona przyjaźniła się z hrabiną Grochowską. Tam była jedna z więźniarek matka i córka, która sprawowała funkcję „Lojdferyndki”, tzn. była łączniczką taką pomiędzy więźniami a Niemcami, ponieważ świetnie знаła język

niemiecki.

I na zasadzie tej przyjaźni, ona się chyba nazywała Rosenthal, wyprosiła u komendanta, aby ostatni raz darować, żeby nie strzelać, żeby nie robił całkowitej masakry. Tylko odbyło się dziesiątkowanie, i część osób się uratowała.

Ale na procesie norymberskim, już tak na zakończenie komendantki Polki ją właśnie wybroniły, że wszyscy komendanci obozów koncentracyjnych, wszyscy esesmani, którzy mieli cokolwiek do czynienia z więźniami poszli na rozstrzelanie, a właśnie wszystkie Polki stanęły opowiadając ten tekst, o którym mówiłam, ona została zwolniona. Nawet di tego stopnia, nie jestem pewna, ale z tego co mówiły koleżanki, nawet koresponduje z niektórymi koleżankami.

Już pod koniec [19]42 r., kiedy masa więźniów, to znaczy nie więźniów, a jeńców wojennych zaczęło przyjeżdżać na teren Niemiec, na teren Rzeszy, bez nóg, bez rąk niemieccy lekarze zdecydowali się zrobić doświadczenia na więźniach, a żeby wypróbować przeszczepy mięśni, przeszczepy ścięgien, przeszczepy kości i działanie to co my dzisiaj mamy cały ten szereg antybiotyków, leków bakteriostatycznych, żeby wypróbować ich działanie.

Więc, co robili? Część osób miała wyciągane kości, to były na zasadzie operacji wyciągane kości z nóg, wyciągane były całe grupy mięśni, a bardzo dużo osób miało wstrzykiwane w amputacjach tzn. zarazki chorobotwórcze. Dostawało się bardzo wysokiej temperatury. Miejsce wstrzyknięcia było obrznięte, bardzo bolesne. I oni podawali 2-3 razy dziennie te tabletki Cibazolu, a żeby uratować przez infekcją. Oczywiście część się uratowała, bardzo dużo osób jednak zginęła.

Zginęła cała grupa Polek, która miała wstrzykiwane tęzec. Szczepionka, czy tam

lek, który był przygotowany przeciw tężcowi, nie udał się Niemcom i one wszystkie zginęły. Ja widziałam, tuż przed śmiercią część, bo chodziłam pod miejsce gdzie one leżały. Były takie czarne na twarzy. Widziałam, że umrą, bo to już była agonía. Także nie udało się uratować, ale te koleżanki jeszcze żyją po przeszczepach mięśni, po wyciągnięciu kości, pracują, żyją, nawet nie wszystkie są na emeryturze.

Ta akcja była zakrojona na wysoką skalę. O ile chodzi o Cyganki, na marginesie powiem, one miały wypalane jajniki w sposób bardzo brutalny drutem. Widziałam, jak wracają z „rewiru”. Rewir to się nazywało szpital. Kiedy wracały na kolanach, czółgaty się skrwawione, były sterylizowane. Niemcy doszli do przekonania, że Cyganie muszą zginąć. Kiedy akcja ta, tzn. pseudo operacji nabrała szerszego wydźwięku, wtedy Niemcy zdecydowali się zastrzelić, wszystkie te osoby, które miały w tym udział, które były poszkodowane. Ale już wcześniej na świat poszły wiadomości.

Większość koleżanek dostała od ówczesnego Papieża Piusa XII pozdrowienia i powiadomienie, że wiemy co się z wami dzieje podpisane było tylko nazwiskiem cywilnym Papieża¹⁴. To była dość komiczna historia. Niemcy niezorientowali się. Podawali listy, a potem bardzo szybko w godzinę zaczęli szukać tych listów, w międzyczasie zawiadomiono, że będą szukane listy, a wszystkie były ukryte.

Tutaj aby rozszerzyć tą historię operowanych koleżanek muszę nawiązać jeszcze do jednej sprawy króciutko. Otóż była studentka z Działdowa, obozu w Działdowie, to na terenie Polski, razem z nami, której matka na samym początku wojny wyszła za mąż za Amerykanina. Amerykanin po-

starał się w jednym z ostatnich transportów zabrać tą matkę jako obywatelkę amerykańską do Ameryki. Została Aka córka, i ona zaczęła pisywać listy przez znajomych do matki, prosząc żeby matka przez tego Amerykanina uznała jej obywatelstwo amerykańskie. Udało to się załatwić, Aka została internowana na teren obozu we Francji, tam też miała szczęście, bo miał pójść transport jeden jedyny złożony z internowanych z terenów Francji do Ameryki. Jedna tam z więźniarek zakochała się w strażniku Francuzie. Nie chciała jechać, to była Amerykanka i Aka zamieniła się z nią numerem i Aka właśnie tym transportem dostała się na statek.

Już pierwsze godziny, kiedy wyplłynęła na wody terytorialne Niemiec, ale ogólnie zaczęła przez radio ogłaszać na cały świat o eksperymentach i o zbrodniach, które Niemcy popełniają. Wszystkie radia na całym świecie pochwytyły jej głos, a wiem to na pewno, bo opowiadała mi przyjaciółka Aki, z którą koresponduję. Aka i ona nie opowiadała o tej części historii, już kiedy byłam na terenie Szwecji, już po wyzwoleniu. Także zanim Aka doplłynęła do Ameryki, cały świat dowiedział się o tych zbrodniach. Niemcy się zlekli i akcja wymordowania wszystkich tych operowanych miała jedyny wtedy odruch, wtedy kiedy chcieli złapać.

Kiedy zgromadzili wszystkie osoby operowane, bo wszystkie były na jednym bloku i miały, i został blok, ta kolumna ludzi otoczona Niemcami esesmanami uzbrojonymi i my Polki drużyna harcerek, o której jeszcze nie wspominałam porozumiałyśmy się z kolumną, która rozwoziła kotły. Były to lekarki sowieckie i pielęgniarki, jak myśmy nazywali „bracze”, „ruskie bracze”. I one zdecydowały się podczas apelu, kiedy ta cała kolumna miała być odprowadzona przez Niemców. Wjechały ogromną platformą w szyk tej kolumny. Kolumna się roz-

¹⁴ Świeckie imię i nazwisko papieża Piusa XII brzmiało Eugenio Pacelli.

prysła, Niemcy też. Właściwie to była konsternacja. W tym czasie koleżanki uciekły. I po tej próbie, Niemcy już nie próbowali łapać tych koleżanek.

Na terenie Ameryki Aka zaczęła nadal prowadzić tą akcję. Prowadziła ją bardzo sprawnie. W ogóle to była inteligentna dziewczyna, już kończąca chyba polonistykę, humanistykę tak to się nazywało studia. Także była mądra i umiała tak przeprowadzić, że jednak część tych koleżanek udało się przeżyć.

No oprócz nauki jak już wspominałam i tych wszystkich zajęć, wykładów poezji trzeba było stworzyć ruch oporu. Tutaj znalazły się koleżanki, harcerze, harcmistrzynie z Łodzi, przeważnie z Łodzi, ze Śląska, które zaczęły wypytywać między koleżankami, które już potem o tym opowiadały. Zorientowały się w postawie na terenie obozu, takiego jakiegoś taktu niektórych więźniarek. Po prostu pytali: byłaś harcerką? Byłaś? W ten sposób stworzyła się drużyna harcerska.

Jak bardzo, była przeprowadzona konspiracja, tu chcę powiedzieć z życia osobistego fakt, przyjechałam się z koleżanką, która żyje, która mieszka koło Łodzi, taka Dzunia Konieczna się nazywała. Myśmy razem spały, razem jadły, razem chodziły. Z tamże Dziunie kto inny wciągnął do drużyny harcerskiej. I pewnego dnia była wyznaczona zbiórka i przyrzeczenie da tych, które na wolności (tak nazywa się świat po za domem) nie składały przyrzeczenia. Wtedy Dziunię zaczęła się wykręcać, że wiesz ja sobie dobrze jak będzie ta „Freistunde” godzina, ja wychodzę. No i ja zaczęłam mówić właściwie, że ja też wychodzę. Proszę sobie wyobrazić jej zdziwienie i ogromną radość gdy się spotkałyśmy na tym przyrzeczeniu harcerskim. No już potem pracowałyśmy wspólnie. Wszystkie akcje były podejmowane, też były wspólne.

Drużyna harcerska na pierwszym rządzie miała za zadanie pomagać tym wszystkim zrezygnowanym, pomagać chorym, organizować tzn. kraść, ale to była taka kradzież Niemcom. Te koleżanki, które pracowały w magazynach z ubraniami, kradły ubranie cieplejsze dla biedniejszych. Wszystkie paczki przestane z domu, były sprawiedliwie dzielone między chorych i biednych, i bardziej głodnych niż my.

Następnie właśnie ta nauka, lub utrzymywanie takiej polskości patriotyzmu, to było zadaniem drużyny harcerskiej. Drużyna harcerska zaraz po wojnie została uznana jako ruch oporu w obozie. I tak jesteśmy traktowane do teraz i tak nas władz obecnej Polski widzą. O ile chodzi o obóz w Ravensbrück, to był obóz jakoś zorganizowany, tzn. dostawało się codziennie posiłki. Raz na dwa tygodnie można było się wykąpać. Wprawdzie jak się szło na kąpiel pod ten tusz, nie wiadomo było czy do gazu, czy na tusz. Ale byliśmy młode i zawsze wierzyliśmy, że idziemy się właśnie kąpać, a nie do gazu. Aczkolwiek były dość częste przypadki, że zamiast wody puszczano gaz, no i już nie wracały z kąpeli.

To był obóz gdzie chodziło się regularnie do pracy, ale obóz był coraz większy. Trzeba było młodzież polską, młodzież hardą jak Niemcy mówili zniszczyć. I wtedy wybrano część osób przeważnie młodzież, przeważnie do obozu wyniszczeniowego, to się nazywało „Vernichtungslager” w Belzen-Bergen, na terenie bardzo bagnistym, błotnistym obecny RFN. Gdzie warunki były 1000 razy gorsze niż w Ravensbrück gdzie nie było spania, gdzie spędzono nas do stajni, tam gdzie nie dawno stały konie niemieckie. Gdzie nie było podłóg, tylko na ziemi się spało. Gdzie był tyfus brzuszny i plamisty, czerwonka, wszy, głód. Nie wiadomo było o której godzinie kiedykolwiek tej ciepłej wody czy gorącej. Na terenie obozu,

tylko raz na dobę wolno było przez godzinę leciała woda z takiego drucika podziurawionego, taki był wąż metalowy tzn. boleć taki, leciała woda. Trzeba było tą wodą zdobywać i tam dosłownie setkami dziennie umierali. Dziesiątkował może nie tyle głód, ile te wszy, które powodowały tyfus brzuszny i plamisty.

Tam było 7 czy 10 pól nawet, tam były obozy męskie i żeńskie. Nie chodziło się do pracy. Po całych dniach siedziło się i łapało wszy, czekało się na razy Niemców, na bicie Niemców, na strzelanie, czekało się może troszkę na koniec wojny, bo jednak wiadomości troszeczkę przenikały. Słyszało się odgłosy bombardowań, to było tak blisko Hannoverhalle, więc gdzieś duże jakieś bombardowania, a właściwie był Hannover tak kwadratami bombardowany. Słyszało się odgłosy tych bombowców, co sprawiało ogromną radość i ogromną uciechę. Człowiek nie myślał, że sam zginie, ale przynajmniej Niemcy zginą, będzie się miało radość życia.

W tym obozie byłam do wyzwolenia, do 9 maja (1945), kiedy został podpisany układ. No ale to było straszne, dlatego że właściwie cały obóz był jednym ogromnym nie szpitalem, ale miejscem ludzi bardzo chorych. Kiedy wkroczyli Amerykanie i Anglicy, i nam ogłosili wolność to ja miałam ten zaszczyt tak troszeczkę, bo więźnia zostałam do czołgu angielskiego i ogłaszałam, że jeździłam w języku polskim i języku francuskim, że przynieśli nam Anglicy i Amerykanie wolność, to nie było do kogo mówić. Zaraz po tym dniu zapadłam na tyfus brzuszny, plamisty. Gorączka to wszystko co towarzyszyło tej chorobie i większość osób bardzo.

Większość osób wtedy, kiedy już nastąpiła wolność, kiedy mogliśmy się cieszyć zupełnie bezwiednie dużo zła spowodowała ta właśnie armia, która weszła. Oni, po-

wiedzieli nam, bezwiednie i niechcący oni mieli ze sobą konserwy mięsne, wieprzowe, fasolę z boczkiem. Te wszystkie rzeczy, które na wygodniały żołądek, były trucizną, kto umiał się opanować. A były oprócz tych konserw tak jak obecne krakersy, keksy. Kto umiał sobie tylko sobie dawkować, co godzinę pół keksa potem co półgodziny, ten przeżył. Ale znam całą szereg przypadków bliskich mi osób, które nie były w stanie zapanować nad głodem i od razu wykończyły się w silnych boleściach.

Chciałam jeszcze powiedzieć o akcji księcia Bernardotte. O akcji kilka lat temu w kilku odcinkach dość szeroko komentowane w Przekroju. Ja czytając to wspominałam sobie i komentowałam po swojemu jak to wyglądało.

Zacznę od tego, co podawał Przekrój, o czym ja zupełnie nic nie wiedziałam. Więc osobisty lekarz księcia Bernardotte, który go wyleczył. To był Książę szwedzki, wielki magnat szwedzki miał lekarza, bardzo dobrego i porozumiał się z Hitlerem. Hitler był na coś chory i książę powiedział, że odstąpi swego lekarza, pod warunkiem, że pozwoli na teren obozów koncentracyjnych wejść w jednym dniu o jednej porze białymi, pięknymi ogromnymi autokarami i zabrać tyle osób i wygwieźdź na teren Szwecji. Hitler przystał na propozycję księcia Bernardotte. I rzeczywiście do wszystkich obozów koncentracyjnych w godzinach przedpołudniowych przyjechały piękne białe wozy. Nikt z więźniów nie orientował się co to znaczyło, ale takie przyjazne ruchy ręką tych ludzi, którzy byli w tych wozach zachęciły, nic gorszego nie mogło czekać.

A wtedy była taka inność. Ja to mówię na podstawie relacji koleżanki, która w ten sposób dostała się do Szwecji. Ja też się dostałam, ale w inny sposób, ale potem króciutko powiem. I ona właśnie w ten sposób weszła nie zabrawszy ze sobą absolutnie

nic, bo absolutnie nie miało się nic w tym obozie. Ale były skarby jak kubek blaszany, jak jakiś list z domu, jakiś guzik ciekawy, to co łączyło z domem. Tak jak stała, tak weszła i w ten sposób dojechała do Szwecji.

Inna właśnie akcja z tej samej, ta sama akcja ale polegała na tym, że część ludzi, którzy byli po chorobach, po tyfusie brzuszny, plamistym, po ciężkich chorobach ewakuowano ze szpitali. Ja właśnie na podstawie takiej ewakuacji dostała się. Tzn. ulokowali nas Szwedzi na statkach jak statek szpital, więc tam były tylko łóżka. To była dość ciekawa przygoda. Nim nas zabrano na ten statek. Trzeba było być około tygodnia w Lubece. Byliśmy poddani bardzo ścisłej kwarantannie.

I tutaj trochę żałosna, trochę śmieszna historia. Więc nakarmiono nas i proszę sobie wyobrazić, że od 4 lat nie jedliśmy prócz ziemniaków, jakieś tam brukwi mniej czy więcej zgnitej nie jedliśmy nic. I nagle postawiono stos tych bułek z masłem z marmoladą. Więc ile można było zjeść tyleśmy jadły. Ale reszta tych bułek zniknęła w kieszeniach. To było lato, to był upał. Wiosna, czerwiec, upał. Te bułki pod poduszką psuły się. Więc to było tak podczas śniadania, podczas obiadu, kolacji resztki ziemniaków, resztki mięsa niedojedzone. Tak, więc po dwóch dniach wyproszone nas z tej sali gdzieśmy spali i pozabierano nam nasze skarby. Z jednej strony śmiech, że dlatego my to magazynujemy, przecież my dostaniemy tyle ile rady damy zjeść. Ale głód, który tyle lat nam towarzyszył nie pozwolił zostawić ani kruszyny jedzenia, aby pozostała na talerzu, żeby to nie należało do nas. No w końcu przyzwyczajono nas do tego, że dostaniemy tyle tego jedzenia ile będziemy w stanie zjeść.

I właśnie po odwyszawieniach, po wszystkich dezynsekcjach w różnych komorach, w gazach, po badaniach bardzo

ściśtych lekarskich z uznaniem wszystkich chorób, ale chodziło, aby nie przenosić dużo zarazków do Szwecji.

Przyjechaliśmy do Szwecji, no i tutaj różnica po tym monotonnym obozie, po drutach, po szarzyźnie, przepiękny cudowny kraj. Kraj gdzie środkiem jezdni rosną różne pachnące, gdzie balkony na zmianę są albo czerwone, albo szafirowe. Ludzie się śmieją, chodzą po ulicy. Byliśmy wszyscy bardzo wyczuleni na zapachy, a był to okres kiedy były te kwiaty pachnące, kiedy owoce były już pachnące. Wszystko strasznie się nam podobało.

Rozmieszczono nas po szpitalach, tam były też bardzo dokładne badania, bardzo ścisłe leczenie. No i potem, los tych wszystkich, którzy dostali się do Szwecji był różny. Pracowało się, bytyśmy przyjmowane przez bogatych obywateli szwedzkich, którzy za punkt honoru mieli obdarowywać nas. Także bardzo często można było się spotkać z taką wielką przyjaźnią Szwedów, kiedy słyszeli tylko język polski. A umieli rozróżnić. Zapraszali do domu, otwierali szafy, otwierali wszystkie miejsca gdzie mieli cokolwiek. I pozostawiali do wyboru, wybierajcie co chcecie, czy płaszcze, czy palta, czy jedzenie, czy nawet złote rzeczy. Ja do dzisiaj mam taką złotą koniczynkę z perełką, którą dostałam w Szwecji jako podarek.

Akcja księcia Bernardotte uratowała wiele istnień ludzkich przed śmiercią. Szwedzi potrafili nas jakoś uratować. Wszyscy pamiętamy to, kontakty utrzymujemy. Ja sama po 15 latach byłam u moich znajomych Szwedów już jako dorosły człowiek. Byłam pełna szczęścia, mogłam zawięzić piękne prezenty, że mogłam pojechać ubrana dobrze. Że mogłam być już człowiekiem, a nie tym właśnie więźniem, którego się pokazywało.

W Szwecji można było się zetknąć z czymś takim, że w sklepach ludzie gdy do-

wiedzieli się, że jesteś Polką od razu dawali, wkładali do kieszeni, do rąk dawali różne czekolady, cukierki. Każdy chciał jakoś doabrać i jakoś chcieli ugościć. Na ile było to bardzo przyjemne z jednej strony, na tyle ja to odczułam jako coś bardzo żenującego. Dlatego, że człowiek wolał obdarowywać, niż być tym wiecznie trzeciorzędnym czy jeszcze gorszym człowiekiem, któremu się daje, czy którego się ma za bardzo biednego.

Szwedzi nie wierzyli w opowieści o obozie. Wprawdzie myśmy wszystkie nie były skore do opowiadać. To były fragmenty, mówiło się o jakiś wybranych sprawach. O sprawach, które kojarzyły się nam z jakimś obecnym zaistniałym faktem w tym domu. Tym niemniej Szwedzi mówili, że to niemożliwe. Ja pamiętam, że opowiadałam taki jeden moment o takiej jednej małej cygance 14-letniej, co im bardzo utkwiło w pamięci.

The memoirs of Henryka Tajchert from Włodawa - prisoner in Lublin Castle, Ravensbrück, and Bergen-Belsen

Polish youth during the occupation period became independent early, mainly because they took part in the conspiratorial life, and also because they had to start earning money, as did the young people in Włodawa. In Jewish families, in the face of the tragic situation, the position of the parents became stronger. In the wartime circumstances, the young generation born in the years 1920-1927, called the Generation of Columbuses, had to grow up faster. This is because of war, and especially the experience it brings, and the toughness it creates in people, which creates the willingness to fight. What made this situation unusual was that it was the first generation raised in the reborn Poland after 1918. The circumstances of underground life did not separate the young from their independent participation in life; what is more, the occupation was conducive to the generational "change of the guard". Many of those who survived had to quickly undertake difficult and responsible tasks in the public life of post-War Poland. The person who belonged to the Generation of Columbuses was Henryka Tajchert, a resident of Włodawa, who survived the occupation and transportation to the Reich through Lublin and Lublin Castle, to concentration camps, first Ravensbrück, and then Bergen-Belsen. In her memoirs, she describes the long way she has gone from the moment of her seizure to the evacuation to Sweden, due to the action of the Swedish Red Cross. The young Poles, including

the young residents of Włodawa, were to a great extent exposed to the German occupant's politics, as the occupier perceived them as the biggest danger. Another aspect which affected young people was their imprisonment in Lublin Castle. However, before anyone went to the Castle, they were first sent to Gestapo headquarters on the territory of their residence. And there started the entire mechanism of human destruction. If someone was lucky, they could go back home, and lead a largely normal life, having only to show up at the Gestapo's headquarters from time to time, as did a few residents. From Lublin Castle, there was only one possible way out, i.e. to the West, straight to the concentration camps in the Reich. And there what awaited them was slave-like labour, till death from exhaustion. The people who survived gave the testimony of their experience, and so did Henryka Tajchert.